

Konio-ludzie i osło-ludzie – z Bronisławem Świderskim o *Don Kichocie* Cervantesa rozmawia Michał Larek

Michał Larek: Bardzo spodobał się panu pomysł rozmowy o *Don Kichocie*. Właściwie dlaczego?

Bronisław Świderski: Jego autor zawsze mnie interesował. Od dziecka. Był bardziej tajemniczy od innych. Fascynowało mnie jego nazwisko, Miguel de Cervantes Saavedra – i bardzo późno odkryłem, że ten ostatni człon był pseudonimem literackim. Przede wszystkim dziwiło mnie, że stworzył tak śmieszny książkę, *Don Kichota*, po pięciu latach bisurmańskiej niewoli w Algierze (1575–1580) i że podobno zaczął ją pisać w chrześcijańskim lochu, uwięziony przez króla, któremu wiernie służył! W *Prologu* do powieści napisze, że jest to „historia spłodzona w niewygodzie i przygnębiającym hałasie więzienia”.

Na własny użytek stworzyłem niewielką opowieść o tym, kiedy poniżony może się dobrze śmiać. Nie wiem, czy jest ona prawdziwa; sądzę, że jest dość prawdopodobna. Prawie całe dorosłe życie spędził Cervantes pod rządami Filipa II (1556–1598). To Filip ociągał się z wykupem przyszłego pisarza z ciężkiej niewoli i to on sankcjonował jego uwięzienie w Hiszpanii. Ponadto ten sam monarcha dwukrotnie, w 1582 i w 1590 roku, odrzucił prośbę Cervantesa o posadę administratora hiszpańskiej kolonii. Bezpośrednio po drugiej odmowie pisarz stworzył *Opowieść uwięzionego*, część *Don Kichota*. Wiemy, że Sanczo Pansa, współbohater tej powieści, także pragnął zostać władcą wyspy. Czyżby Cervantes utożsamiał się bardziej z zapobiegliwym Pansą niż z dumnym Don Kichotem? Wreszcie przypomniałem sobie, że przed laty wystąpiłem na uniwersytecie kopenhaskim wykładu hiszpańsko-algierskiego badacza o więziach łączących literatury obu krajów. Powiedział on, że nazwisko Pansa określało po prostu Hiszpana w języku algierskich piratów, którzy trzymali Cervantesa w niewoli.

Na dokładkę pojawiła się właśnie nakładem University of Chicago Press książka Elviry Vilches *New World Gold: Cultural Anxiety and Monetary Disorder in Early Modern Spain* opowiadająca, jak bardzo miraż złota, istniejącego „po drugiej stronie świata”, przede wszystkim w kraju Azteków, oslepił króla Filipa i jego dwór. Widzi już pan, do czego zmierzam? Do propozycji, która brzmi tak: postać zwariowanego marzyciela-rycerza Don Kichota to satyryczne przedstawienie króla Filipa, mającego bziaka na punkcie złota. Sanczo Pansa zaś to lud Hiszpanii posłusznie i mimo nieszczyć podążający za swoim władcą. Zatem pierwsza propozycja odczytania powieści zmierza do stwierdzenia, że *Don Kichote* jest wspaniałą satyrą polityczną, wyrafinowaną zemstą pisarza za poniżenia i obrazy otrzymane z ręki króla. Czy można ją czytać inaczej?

Nie dziwi nas przecież, że Borowski i Lévi pisali „straszne rzeczy” o obozach, w których byli, albo że Solżenicyn tyle demaskacyjnej energii obrócił na opisanie Gułagu. Mówimy nawet, że zadaniem pisarza jest danie „odpowiedniego wyrazu” przeżyciom swoim i innych. Czytając jako dziecko, po raz pierwszy, dość chyba przycięte polskie wydanie *Don Kichota*, nie potrafiłem zrozumieć, że śmiech może oddać tragizm. Przecież naturalne i właśnie – odpowiednie – było to, że po uderzeniu płakaliśmy i krzyczeliśmy. Ale śmiać się, gdy dostaniesz w skórę? Kto to potrafi? Chyba u Alice Miller jest opowiedziana historia chłopca, który siusiał w nocy do łózka i był za to surowo karany. Gdy jako dorosły opowiadał psychologowi o karach, uśmiechał się, choć nadal był poruszony. Czy uśmiech pozwalał mu na opowieść – i dzięki temu na dystans do traumy dzieciństwa? Czy było inaczej – to opowieść pozwalała na dystans i na uśmiech, pierwszy krok ku zaleczeniu traumy... Czy *Don Kichote* był terapią Cervantesa?

Michał Larek: Hm, nigdy nie zadawałem sobie takiego pytania. Zwróciłem jednak ostatnio uwagę, że legendarny Erich Auerbach charakteryzuje *Don Kichota* przede wszystkim jako łagodną, przyjazną, radosną powieść. Żadnych pryncypialnych sądów, powiada, żadnych oskarżeń, żadnych konkluzji. Jedynie oświecona gra.

Bronisław Świdorski: Nie pamiętam opinii Auerbacha, ale jeżeli jest tak, jak pan mówi, to nasz „legendarny” badacz napisał wierutny nonsens. Weźmy choćby początek powieści, rozdział czwarty, w którym Don Kichote ratuje parobka od sadystrycznej kary. Nasz wspaniały bohater na koniu widzi, że gospodarz bije przywiązanego chłopca, „który nie może się bronić”, nakazuje zwolnienie go i wypłacenie pieniężnej kompensacji. Chłop, widząc uzbrojonego rycerza, godzi się, ale gdy tylko Don Kichote odjeżdża, gospodarz pewny, że jego racja zwyciężyła, z powrotem zabiera się do okrutnego bicia. Czy nie jest to jak najbardziej zasadnicza przypowieść o losie sprawiedliwości na świecie? Czyż autor nie pyta: dlaczego sprawiedliwość zawsze zależy od przemocy, od tego, kto okaże się silniejszy w danej chwili? Ponadto jest to ilustracja jak najbardziej pryncypialnego w kulturze światowej sporu Sokratesa z sofistą Trzymachem z pierwszej księgi *Państwa*. Sofista utrzymuje tam, że sprawiedliwość zawsze ulega sile, w tym przemocy państwa. Jak pan widzi, pytanie od tyłu wieków fundamentalne dla naszej mentalności otrzymało u Cervantesa wspaniałą, ale wcale nie „radosną” ilustrację.

Michał Larek: Ciekawe, że Auerbach tak to właśnie widział... że nie słyszał w tej powieści tonu oskarżenia...

Bronisław Świdorski: Proszę pamiętać, że jestem dzieckiem wojny, a właściwie tuż-powojnia. Bycie żołnierzem jak Don Kichote, zabijanie i przemoc przyjmowałem równie naturalnie jak jedzenie (którego zawsze brakowało), jak rodziców (a w każdej rodzinie był ktoś zabity, zamordowany, zagłodzony), jak dom... Don Kichote był więc oczywisty, a jednocześnie tak różny od wszystkich śmiesznych rycerzy, jakich poznałem, także od Zagłoby... Czytałem Cervantesa, gdy już dawno zapomniałem o Sienkiewiczu.

Nie wiem, dlaczego Auerbach potraktował radość i śmiech tak powierzchownie. Można mu przeciwstawić zdanie Bachtina (skoro się usłyszało A, należy powiedzieć B), który pisząc o dziełach Rabelais’ego, Szekspira i Cervantesa, scharakteryzował śmiech

renesansowy jako coś, co obnaża nędzę scholastycznej powagi: „śmiech ma głębokie znaczenie światopoglądowe, jest jedną z istotnych form wyrażenia prawdy o całości świata, o historii i o człowieku; to szczególna, uniwersalna perspektywa, z której świat widać inaczej, ale wcale nie gorzej (jeśli nie lepiej) niż z pozycji powagi... pewne, bardzo istotne aspekty świata są dostępne jedynie dla śmiechu”¹.

Według Bachtina Cervantes był jednym z najważniejszych pisarzy „karnawałowych”, jacy wywarli wpływ na Dostojewskiego.

Cervantes nadal pozostał dla mnie tajemniczy, jako człowiek i jako pisarz, i owa tajemniczość wciąż mnie popycha ku niemu. I to tak silnie, że czasami robi ze mnie wariata. Wbrew mojej woli.

Michał Larek: Robi wariata?

Bronisław Świdorski: W połowie lat 90. udałem się wraz ze znajomą (która jest znaną działaczką kultury i z pewnością w razie pana wątpliwości potwierdzi moją wersję) do ambasady hiszpańskiej w Warszawie na spotkanie z Fernando Arrabalem, który napisał esej o Cervantesie. Mały, ruchliwy, hiperaktywny Arrabal opowiadał, a właściwie odtarńcował swoją książkę. Odzierał autora z całej tajemniczości. Przedstawiał jego biografię jako, co prawda pełną przygód, ale zupełnie zrozumiałą. A może mówił więcej o sobie niż o autorze *Don Kichota*? Ponieważ całe życie chciwie czytałem o Cervantesie i akurat byłem po lekturze kolejnej książki, zaprotestowałem, stanowczo zaprotestowałem przeciwko nieheroicznemu przedstawieniu autora *Don Kichota*. Wyciągnąłem rękę i powiedziałem, że Cervantes był odważnym żołnierzem pod Lepanto, a wzięty do niewoli przez piratów kilkakrotnie próbował uciec.

– O, mamy profesora! – zawołał szyderczo Arrabal i powiedział, że wie, o czym mówi: on także był więźniem, był aresztowany przez żołnierzy Franco.

– A wie pan – wykrzyknął – co ja robiłem we frankistowskim więzieniu? Srałem. Cały czas srałem. Pisarz, gdy się znajdzie w więzieniu, nie jest żadnym herosem. Pisarz sra.

Ale ja nadal protestowałem. Nie mogłem pogodzić się z takim obrazem Cervantesa.

Michał Larek: Jaki obraz Cervantesa wyśnił pan sobie?

Bronisław Świdorski: Jak to wyśnił? Przecież jest dzień i dopiero zaczynamy rozmowę. Dlaczego chce pan, abym poszedł spać?

Michał Larek: Może zatraciłem rachubę czasu, ale sam pan dość ironicznie mówił o swojej obronie własnego obrazu Cervantesa.

Bronisław Świdorski: Bo wszystko jest ironią.

Michał Larek: Podobno... Co ciekawego wynika z pana lektur na temat biografii Cervantesa?

Bronisław Świdorski: Istnieje znakomita książka, o której jeszcze będzie tutaj dużo. Jest to odczytanie biografii i twórczości pisarza poprzez okres zniewolenia u mułmańskich piratów. Myślę o *Cervantes in Algiers. A Captive's Tale* Marii Antonii Garcés. Rzecz została wydana nakładem Vanderbilt University Press w 2002 roku. Ja posiadam *paperback* z 2005.

¹ Bachtin. *Dialog, język, literatura*, pod red. E. Czuplejowicza i E. Kasperskiego, Warszawa 1983, s. 160.

Michał Larek: Słówko o tym odczytaniu?

Bronisław Świderski: Garcés pokazuje, że znajomość pięcioletniej niewoli Cervantesa w Algierze jest konieczna do zrozumienia *Don Kichota*.

Michał Larek: Zwróćmy się w stronę samej powieści. Co znajduje pan w niej interesującego?

Bronisław Świderski: Zaczniemy od początku. Kim był nasz szlachcic? Był two-rem podwójnym, skoro nie mógł ani działać, ani myśleć bez sługi, Sanczo Pansy. Wszak myśli szlachcica są skierowane do sługi i od niego Don Kichote otrzymuje odpowiedź, u niego znajduje radę lub naganę, pocieszenie i zachętę. Istnieją jedynie jako dwójka... a może są to dwie twarze Don Kichota? Lub Sanczo Pansy? Czy nie mamy do czynienia z dialektyką tego, co zewnętrzne, i tego, co wewnętrzne? Tego, co niskie, i tego, co wysokie?

Czas poprzedzający dzieło Cervantesa (lata 1605–1615) pełen był myśli i ikon sylenicznych. Mentorem Dionizosa był Sylen, miał pokraczną postać, a pod nią skrywał szlachetną naturę. To Alkibiades porównuje Sokratesa w *Uczcie Platona* do brzydkich figur sylenów, owych konio-ludzi, po rozłupaniu ujawniających wewnętrzne piękno i harmonię.

Erazm z Rotterdamu napisał o podwójności Sylena esej *Sylenowie Alkibiadesa*, a nieco wcześniej wpisał refleksję nad sprzeczną, syleniczną naturą ludzką w powszechnie znaną w całej Europie, a zatem z pewnością nieobcą Cervantesowi, *Pochwałę głupoty* z 1511 roku:

„Raz na zawsze ustalmy, że nie istnieje człowiek nie posiadający, jak Sylen u Alkibiadesa, dwóch wielce odmiennych twarzy, tak iż to, co dla zewnętrznego obserwatora jest śmiercią, patrząc od wewnątrz stanie się życiem i na odwrót. Tak właśnie piękne jest brzydkie, bogacz biedakiem, oszust uczciwym, uczony prostakiem, mocarz słabeuszem, szlachetny plugawcem... mówiąc krótko: któż nie chciałby oświadczyć, iż król jest zarówno bogaty, jak i wspaniały? A przecież jeżeli nie ma wewnętrznego bogactwa i nic go nie zaspokaja, pozostanie skrajnie biedny...”.

Czy nie przypomina nam to zasady Cervantesa? Wszak para Don Kichote – Sanczo Pansa to owa syleniczna figura, tuż po rozłupaniu. To także konio-ludzie, a w wypadku Sanczo Pansy nawet osło-ludzie. Wydaje się, że syleniczne połączenie rzeczy na pozór rozłączonych: mądrości z głupotą, brzydoty z pięknem i przedstawiciela „wysokiego rodu” z chłopem lub plebejuszem, wyrażało nie lada jakie ambicje: chciało ująć całość ludzkiego doświadczenia dzięki wzięciu go w ekstremalne obcegi rozumu. Spodziewano się zatem, że pokazując oba bieguny intelektu, estetyki i polityki, zrozumiemy także i to, co znajduje się pomiędzy nimi. Oto renesansowe przygotowanie do Hegla.

Ale rzecz sprawiła i kłopot: połączenie syleniczne burzyło pewność poznawczą, nakazywało bowiem oczekiwać tego, co niezwykle, co nowe, nieznanne i rozwijające. Bo skoro to, co brzydkie, mogło komuś wydawać się piękne, należało mówić o co najmniej dwóch rodzajach piękna. Zewnętrzne, czyli to, co nietrwałe, co szybko przemijało (na przykład piękno ciała), niewiele było warte. Pod zewnętrznym pięknem należało zatem

szukać piękna autentycznego, wewnętrznego: piękna ducha, które będąc częścią ducha absolutnego, pozostawało trwałe. Ze wspaniałą ironią pokazuje Cervantes nicosć pewnego siebie formalizmu, dominującego w kulturze scholastyków, którym renesans wydał walkę. Autor tak opisuje swojego bohatera w pierwszym rozdziale *Don Kichota* (uwaga, tłumaczę z duńskiego, mam dwa różne duńskie wydania² i żadnego polskiego – proszę wziąć poważnie życie wewnętrzne imigranta-intelektualisty, czy rzeczywiście myślicie, że jestem jakimś tam Latarnikiem, który czyta tylko polskie książki?): „mówiono, że jego nazwisko brzmiało Quijada albo Quesada, ci, którzy pisali o nim, różnią się w tym punkcie. Jest także możliwe, że zwał się Quejana. Nie ma to wielkiego znaczenia dla naszej historii. Ważne, że opowieść o nim ściśle odpowiada rzeczywistości”.

Prawda nazwiska to prawda formalna, zewnętrzna i nie ma ona nic wspólnego z autentyczną Prawdą. Prawdziwa może być jedynie Narracja pokazująca wiele stron jednostki. Otóż owe prawdziwe wartości, owa cała Prawda, zawarta w naturze sylenicznej człowieka i świata ujawniała się najlepiej w ruchu, podczas podróży, w czasie odkrywania tego, co niezwykle w krajobrazach i ludziach. Prawda to odległe lądy (a nie od dawna znane nazwisko), do których trzeba zmierzać (jak choćby w wypadku *Utopii Morusa*) i wewnątrz własne lub drugiego człowieka, a taka podróż także jest sprawą całego życia. Pamiętajmy, że epoka Cervantesa to okres coraz lepszego odkrywania nowych kontynentów i kultur, w czym przypomina czas obecny, gdy naszymi (bo chyba nie tylko moimi?) sąsiadami są i buddyści, i muzułmanie, i palący khat, a wierzący w dziwne bóstwa Afrykańczycy... Wydaje się, że opowieści o odkrywaniu nowych światów i własnej natury są dzisiaj, gdy szykujemy się do najdziwniejszej wyprawy w historii ludzkości, mianowicie na inne planety, szczególnie interesujące. Hartują nas, przygotowują na to, co odmienne. I mówią, że bezrozumna agresja (jak u Don Kichota) jest, być może, najpospolitszą reakcją człowieka na nowe i stare (jak wiatraki) doświadczenia.

I jednocześnie *Don Kichote* zaciera granicę między „rzeczywistością” a światem literatury – podobnie jak my stopniowo akceptujemy, że świat wirtualny staje się częścią naszej rzeczywistości. Cervantes tak pisze dalej o swoim bohaterze, który jest oczywiście jak najbardziej rzeczywisty, chociaż nie mamy pewności, jak się nazywa:

„Należy do tego dodać, że wspomniany szlachcic obracał wszystkie wolne chwile – a tych miał najwięcej w ciągu roku – na czytanie romansów rycerskich, a czynił to z takim zachwytem i radością, że prawie zapomniał o polowaniach a nawet o krzątaniu się wokół gospodarstwa i majątku. Miał bzik na tym punkcie i sprzedał wiele hektarów ziemi ornej, aby kupić owe romanse. Szybko zgromadził wszystkie, jakie istniały... Głęboko zakopał się w książkach i czytał przez całą noc aż nadszedł jasny dzień – i przez całą dzień, aż nadeszła ciemna noc. Spał tak mało i czytał tak wiele, że mózg mu wysychał a wraz z nim i rozum. Głowa wypełniła się tym, co przeczytał o czarach, walkach, kłótniach, pojedynkach, ranach, grzechnościach, miłościach, przeciwnościach i głupawych

² Miguel de Cervantes Saavedra, *Den sindrige ridder Don Quichote de la Mancha*, wydawnictwo Centrum 1998, tłum. R. Kappel Schmidt, wyłożone zostało archaizowaną duńszczyzną. Lepszy jest, moim zdaniem, wydany w 2000 roku przez wydawnictwo Rosinante (a zatem już w nazwie sygnalizujące właściwe kompetencje), *Den klagtige adelsmand Don Quijote af la Mancha* w tłum. I. Hasselbalch.

wymysłach. Cały zbiór kłamstw i marzeń tak bardzo wypełnił jego fantazję, że w końcu nie było tam miejsca na nic rzeczywistego. O, powiedział, el Cid Ruy Diaz był znakomitym rycerzem, ale wcale nie mógł się mierzyć z Rycerzem Płonącego Miecza, który jednym uderzeniem rozłupał dwóch przeogromnych i wściekłych olbrzymów”.

Rycerz Płonącego Miecza – czy nie jest to rzeczywisty bohater wielu gier internetowych?

Michał Larek: Poruszył pan mnóstwo ważnych wątków. Chciałbym zatrzymać się przy syleniczności człowieka. Cervantes bez przerwy wskazuje na schizofreniczność zarówno Don Kichota, jak i Sanczo Pansy. Jego bohaterowie raz po raz zdumiewają „znowu szaleństwem i mądrością”³ obydwu. Myśli pan, że w ten sposób Cervantes gra na rzecz jakiejś tezy? Może koncepcji antropologicznej?

Bronisław Świdzki: Ależ syleniczny to tyle, co normalny. Nie ma ta cecha nic z choroby, nic ze schizofrenii. Przeciwnie: ten, kto nie potrafi łączyć w sobie – i nie widzi u innych – cechy sylenicznej, ten jest człowiekiem upośledzonym, jednokim. Syleniczność to przede wszystkim rozwój i dynamika wewnętrzna, gra ze sobą, karnawałowość zaś to – znowu: przede wszystkim – dynamika socjologiczna i gra ze światem. Czyż Don Kichote nie jest normalny? Chce zwycięstwa dobra – tak jak my. I nie zdaje sobie sprawy ze swojego fanatyzmu, jak wielu z nas. Michel Foucault przywołuje w *Historii szaleństwa* figurę Sylena obok *Pochwały głupoty* Erazma. Cytuje z niej, że ludzie oglądani z wysoka, być może nawet boskim okiem, są – w istocie – szaleńcami: „ogłdacie mrowie much albo komarów, jak biją się między sobą, jak walczą, jak dybią w zasadzkach, jak latają, igrają, skaczą, padają i umierają...”. Foucault dopowiada, że „obłąd przestał być dziwactwem świata... nie jest już figurą kosmosu, ale właściwością aevum – doczesności... Wszelki dzielny rozum musi śmieć otrzeć się o szaleństwo, aby dokończyć swego dzieła... W pracy rozumu obłąd jest momentem trudnym, lecz zasadniczym; przez obłąd, nawet w jego pozornych zwycięstwach, rozum się objawia i triumfuje. Z obłądu czerpie żywą, utajoną siłę”⁴. A czy sama sztuka nie jest obłądem? Foucault zna wielu twórców, którzy mówią: jest. Wszak „wynalezienie sztuki zawdzięcza my wyobrażeniom nienormalnym...”⁵.

Ta antropologiczna idea nie była bynajmniej nowością w czasach Cervantesa.

Dość prosty schemat, w jaki Bachtin wkłada renesans, jest bardzo klarowny i pedagogiczny: ludowy, autentyczny, karnawałowy śmiech zwalczą ponurą powagę kultury oficjalnej (głową dam, że Bachtin uprościł sprawę, aby dokopać zrytualizowanej, pełnej ciemnej powagi władzy sowieckiej), to egzamin kultury wysokiej i skamieniałej przez potrzeby ciała niepoddającego się formalnym regułom. Dlatego Bachtin powie: „rolę Sancza w stosunku do Don Kichota można porównać z tą, jaką w stosunku do »wysokiej« ideologii i kultu pełniły średniowieczne parodie, z rolą błazna w stosunku

³ Polskie wydanie: M. de Cervantes Saavedra, *Przemysłny szlachcic Don Kichote z Manczy*, t. 1–2, tłum. A.L. Czerny, Z. Czerny, Warszawa 1983.

⁴ M. Foucault, *Historia szaleństwa w dobie klasycyzmu*, tłum. H. Kęszycska, Warszawa 1987, s. 36, 45.

⁵ Ibidem, s. 46.

do poważnego ceremoniału...⁶ Ba, ale to przecież nie tak, bo jeżeli Sancho Pansa jest błaznem wobec Don Kichota, to ten ostatni w żadnym wypadku nie może być nazwany przedstawicielem „poważnego ceremoniału”. Wręcz odwrotnie: Rycerz Smętnego Oblicza jest także Błaznem, i to przez wielkie B, wobec kultury wysokiej. W naszej powieści mamy zatem do czynienia z dwoma błaznami: Błaznem na koniu i Błaznem na osle. Niszczy to dualizm bachtinowski oparty na pohegłowskim przeświadczeniu, że zawsze istnieje „pozytyw” i jego negacja. Nie, u Cervantesa mamy do czynienia jedynie z negacją, która łączy się z kolejną negacją... i nagle widzimy, że właśnie takie jest życie.

Mamy w powieści nie skamieniały, sformalizowany „świat wysoki” przeciwstawiony spontanicznemu, a zatem i „autentycznemu”, „niskiemu”, ale wprost przeciwnie: to świat niski jest przewidywalny i sztywny, bo zawsze dba przede wszystkim o napełnienie brzucha, dach nad głową i ciepłą strawę. Don Kichote zaś posiada te cechy, które Bachtin przypisał kulturze karnawału: nieobliczalność i spontaniczność...

Michał Larek: Nieźle pan to odwrócił... Wspomniany został też świat gier komputerowych. To kapitalna analogia. Wszakże Don Kichote jest zanurzony w świecie fikcji. On nie może żyć, nie cytując tekstów literackich. Wszystko, co robi, jest naśladowaniem literatury. Świetnie to widać w ostatnich rozdziałach, kiedy musi porzucić na cały rok zawód błędnego rycerza. Natychmiast wyszukuje sobie nowe źródło: konwencje pasterskie.

Bronisław Świdorski: Właśnie, zatrzymajmy się przy problemie fikcji w tym dziele. W ciągu lektury pojawia się znacząca zmiana na poziomie metafikcji. Oto w *Prologu* do tomu pierwszego, wydanego w 1605 roku, słyszymy wyznania autora, a właściwie niepewnego autora, gdyż głowi się on, czy w ogóle warto pisać dzieje Don Kichota. Rozmawia o tym z przyjacielem. Co mówi *Prolog* o autorze – a właściwie: „autorze”?

Dowiadujemy się, iż zna on grecką filozofię, a przynajmniej nazwiska „Arystotelesa, Platona i wszystkich innych możliwych filozofów”, że wymienia Biblię i świętego Tomasza, że rozumie łacińskie sentencje przyjaciela i jego przywołanie Katona, że zna mitologię grecką i rzymską i że – wreszcie – obu porusza niechęć do europejskich romansów rycerskich... Zatem opowieść o Hiszpanie Don Kichocie zrodziła się w głowie dobrze wykształconego Europejczyka, zapewne Hiszpana. Zresztą w *Prologu* nazywa on siebie – jeśli nie ojcem, to ojczymem Don Kichota.

To wszystko ulega zmianie w *Przedmowie do czytelnika*, zamieszczonej w drugim tomie, wydanym dziesięć lat później i pisanym w pewnej mierze jako odpowiedź na plagiacką kontynuację *Don Kichota*, opublikowaną w 1614 roku przez osobę o pseudonimie Alonso Fernandez de Avellaneda. Autor w tej *Przedmowie*... zapewnia czytelnika, że to właśnie on stworzył tom drugi, podobnie jak pierwszy. Ale nagle trójkąt, złożony z Prawdziwego Autora, odpierającego atak Plagiatora (którego zresztą Cervantes sparodiował w drugim tomie) i przywołującego Czytelnika na świadka, zostaje rozszerzony na wszystkie strony. Pojawia się bowiem Autor numer 2 i Tłumacz. Pierwszy rozdział tomu drugiego przynosi już na początku następującą informację: „Sidi Hamed Benengeli opowiada w drugiej części tej historii, która dotyczy trzeciej wyprawy Don Kichota...”.

⁶ M. Bachtin, op.cit. s. 188.

Sidi Hamed Benengeli? Któż to jest, do diabła? W rozdziale drugim dowiadujemy się o nim nieco więcej. Podczas rozmowy obu bohaterów powiada Sanczo Pansa:

„Nie doszliśmy jeszcze do najgorszego. To, co dotąd opowiedziałem, to nic i ciepła woda. Jeżeli chciałby pan się dowiedzieć, co złego o panu mówią, to mogę, tak szybko jak świnia kwiczy, sprowadzić kogoś, kto opowie o tym, nie pomijając żadnego szczegółu. Wczoraj wieczorem przybył do domu syn Bartolomeusza Carrasca. Właśnie został bakalarzem na uniwersytecie w Salamance, a gdy przybiegłem, aby go powitać, opowiedział mi, że już istnieje książka o panu. Nazywa się *Don Kichote* i, jak powiedział, ja także występuję w niej pod prawdziwym nazwiskiem Sanczo Pansy, a to samo dotyczy pani Dulcynei z Toboso. Książka opowiada o sprawach, których doświadczyliśmy jedynie we dwójkę. Kto, do diabła, mógł nas podglądać i opisać naszą historię?

– Z pewnością jakiś czarodziej – rzekł Don Kichote – jest autorem naszej historii, bo przed nimi nic się nie ukryje.

– Ale jeżeli czarodziej – odpowiedział Sanczo – to dlaczego student Samson Carrasca twierdzi, że autor nazywa się Sidi Hamed Aubergine?

– To brzmi mauretańsko – powiedział Don Kichote.

– Z pewnością – rzekł Sanczo – bo zawsze słyszałem, że mauretańscy lubią oberżyny”.

Ta wiadomość sprawia czytelnikowi jeszcze jedną trudność: w jaki sposób Mauretańczyk otrzymał tak staranne, europejskie wykształcenie? Jak to się stało, że potrafi znakomicie pisać po hiszpańsku, a właściwie w języku kastylijskim? Ale już niebawem dowiadujemy się, że to nie on stworzył kastylijską wersję opowieści. Zapewne nie zna tego języka i dlatego czytelnikowi potrzebny jest Tłumacz. Czy jest on jedynie tłumaczem, bez reszty zajętym dosłownym przekładem? Popatrzmy, co robi. Gdy w piątym rozdziale (ciągle mówimy o drugim tomie) Sanczo prowadzi sofistyczną rozmowę z żoną Teresą, jego wywody nagle przerywa komentarz Tłumacza: „oto po raz drugi Sanczo mówi rzeczy, które są mądrzejsze od niego, zatem, zdaniem tłumacza, ten rozdział musi być apokryfem”.

Tak wyglądała bohatera walka Cervantesa z plagiatorem: w tej sytuacji nikt nie wie, kto „naprawdę” napisał powieść. Musi być ona Prawdą, skoro żaden człowiek nie jest jej autorem. Metafikcyjne lustro, istniejące w drugim tomie, ukazuje syleniczność na nieco innym planie. Mamy do czynienia z podwojeniem Autora, z niezwyklej koniunkcją, której nie znoszą bibliotekarze, biurokraci, księgowi, układacze katalogów i inni rykerze jednoznaczności. Pamiętam moje walki w Kopenhadze o wydawanie pseudonimowych dzieł Kierkegaarda (jego pseudonimy ukazywały różne strony albo aspekty syleniczności) tak, jak chciał autor, czyli bez nazwiska Kierkegaarda na okładce. Przegrałem, bo, jak mi mówiono, „nikt by nie wiedział, o kogo chodzi”. Moja pierwsza syleniczna powieść *Autobiografie*, wydana w 1981 roku w Londynie, nosiła na karcie tytułowej nazwiska dwóch autorów: Jan i Bronisław Świdorski... czegoż z nią nie wyrabiano: polskie pismo, które zamieściło fragmenty, zmieniło (oczywiście!) na Jan i Bronisław Świdorscy.

Natomiast amerykańska Biblioteka Kongresu zaksięgowała ją pod hasłem Jan Świderski, a zatem pod nazwiskiem autora, który nie istnieje...

W *Don Kichocie* mamy zatem dwóch autorów: jeden jest Hiszpanem, drugi – Mauretańczykiem, pierwszy chrześcijaninem, drugi wyznawcą Koranu, który (na przykład w ósmym rozdziale) przykładowie modli się do Allaha. Z kolei muzulmański „autor” zostaje podwojony przez przydanie mu tłumacza-Hiszpana... A od początku mamy dwóch bohaterów. Ta strategia sylenicznego podwojenia, oglądania świata zarówno „z góry”, jak i „z dołu”, przypomina sytuację emigranta, a z pewnością więźnia wyrwanego ze swej kultury i zmuszonego podporządkować się nowej. A pamiętajmy, że wówczas powstaje tak zwany szok kulturowy, bo nie można przenieść racjonalności (logiki) jednego systemu do innego. Trudno zatem wówczas zrozumieć, o co chodzi, co powinienem zrobić, aby przeżyć... O tej nieprzekładalności logiki jednego systemu do drugiego pisałem w eseju *Ostatnia i pierwsza*⁷, o dwóch książkach, które czytałem w Polsce i w Danii, a które – mimo, że te kraje są sąsiadami przez wodę – także nie dawały się „uzgodnić”.

Z punktu widzenia Innego Świata, czyli nieznannej kultury, do której Cervantes został porwany, z pewnością wyglądało to tak, jakby był dzieckiem, jakby „nie znał świata”, był dzikusiem, nieznanym zwyczajów arabskich, a zatem – dla Arabów – po prostu ludzkim, tak jak my dziwimy się, że niektórzy mieszkańcy Afryki nie znają lodówki.

Sądzę, że właśnie tam, w Algierze, jak sugeruje wspomniana przeze mnie praca o algierskiej niewoli pisarza, nauczył się Cervantes „drugiego spojrzenia”, czyli widzenia siebie oczyma innych. Wykorzystał to do opisu swojego rycerza.

Dziwi nas u *Don Kichota*, że nie uczy się na błędach. Że wciąż bierze wiatraki za olbrzymów, a dziewczki od krów – za damy. Że każdy człowiek i każde wydarzenie stanowi dla niego nowy i osobny świat, o którym nic nie można wnioskować na podstawie znajomości innych. Oto, być może, doprowadzona do absurdu nauka scholastyków, iż Bóg każdego człowieka „uczynił z osobna”. To, być może, także polemika z metodą indukcyjno-empiryczną, której początki Cervantes mógł poznać z pism Ockhama, a którą po śmierci Cervantesa propagował Francis Bacon w *Novum Organum* (1620).

Powiedzieć możemy, że *Don Kichote* nie umiał myśleć logicznie, nie potrafił uogólnić swoich przeżyć ani dziwić się własnym porażkom, a zatem nie myślał, jak ich w przyszłości uniknąć. Ale jako imigranci właśnie tego wszystkiego nie wiemy, ucząc się nowej kultury.

Niewątpliwie *Don Kichote* był groźnym fanatykiem, który (jak to często głoszą fundamentaliści) chciał czynić dobro, i warto zapytać, jak by się zachował, gdybyśmy zamiast romansów rycerskich dali mu książki ideologiczne, na przykład nazistowskie lub marksistowskie? Albo religijne? A może – powracam do mojej intuicji – było to doświadczenie emigranta, który postawiony w środku Innego Świata – jak to się przydarzyło Cervantesowi w Algierze – nic z niego nie rozumie poza tym, że nie może już stosować logiki domowej (owej indukcji), bo ona tutaj nie pasuje, bo każdy system – powracam

⁷ B. Świderski, *Ostatnia i pierwsza. Przesłanie pewnego pojęcia*, „Kronos” 2010, nr 2, s. 239–251.

do wspomnianego eseju o moim zetknięciu z Innym Światem – wytwarza swoją własną racjonalność, której nie można wywieść z poprzednich doświadczeń.

Wydaje mi się, że istnieje analogia między biografią Cervantesa i biografią Don Kichota podkreślająca owo zderzenie różnych „logik”. Bo tak jak Rycerz Smętnego Oblicza nie umiał wyciągać nauk ze swoich przygód i zmienić swojego zachowania, tak postępował i Cervantes w mużułmańskiej niewoli: aż cztery razy próbował ucieczki, mimo że groziła za to śmierć – i ani razu mu się nie powiodło! Upór, może nawet bezrefleksyjny upór, zbliża obu do siebie.

Garcés opisuje przypadki innych chrześcijan w Algierze, którzy zapewne na skutek więzienia i tortur zdecydowali się na konwersję. Nie był to przypadek autora *Don Kichota*. Przeciwnie, nie chciał mieć on nic wspólnego z wiarą i kulturą swoich nowych władców. Zatem uciekał.

Pierwszą ucieczkę, (wszystkie próby wymknięcia się z więzienia opisuje wspomniana książka o niewoli Cervantesa) zaplanował w 1576 roku; zdradzony przez lokalnego przewodnika musiał jej zaniechać. Ukarany został biciem i zakuty w kajdany. Drugiej spróbował już w roku następnym i ponownie został ukarany. W 1578 – trzecia próba, za co otrzymuje „dwa tysiące razów”. Najprawdopodobniej od śmierci ratuje go interwencja wpływowego dyplomaty tureckiego Hadjji Murada. W następnym roku znowu ucieka wraz z innymi więźniami. Wydani przez jednego z hiszpańskich współwięźniów zostają złapani, Cervantesa wtrącono do lochu.

Zostawmy na boku dyskusje współczesnych badaczy na temat tego, w jaki sposób udało mu się zachować życie; niektórzy wyrażają przypuszczenie, że był on, aby użyć aktualnej polszczyzny, TW mużułmańskich władców. Istotne jest, że mimo surowych kar nie zrezygnował z ucieczek, a zatem że jego „logika domowa”, nakazująca chrześcijaninowi odrzucać kulturę „bisurmanów”, była silniejsza od atrakcyjności algierskich obyczajów. A przecież w *Don Kichocie* jest tak wiele z Algieru! Przywołanie okrutnego porwania zostanie pod piórem pisarza wzbogacone o autorefleksję, a przede wszystkim o próbę odszukania „innego spojrzenia” – o próbę „uczłowieczenia” mużułmanów. Rozważmy na przykład kolejny gest syleniczny: rozszerzenie przez Cervantesa swojego rodzowego nazwiska przez dodanie nowego członu Saavedra. Cervantes skorzystał z tego nazwiska w tekście *La historia del cautivo* z 1590 roku, który stał się później częścią *Don Kichota*. Garcés pisze, że Cervantes potraktował nazwisko Saavedra jako „swoją» drugą tożsamość«, która przywoływała jego traumatyczne doświadczenia w Algierze. Saavedra jest nazwiskiem chrześcijańskiego niewolnika, którego odważne czyny i opór przeciwko Hasanowi Paszy wywołują podziw protagonisty, Ruya Péreza de Viedmy, w istocie alter ego Cervantesa... Nazwisko Saavedra sygnalizuje próg dzielący życie od śmierci, poprzez związek z traumą, a także ze śmiercią ojca Cervantesa. Saavedra przywołuje granicę, zarówno tę rozdzielającą świat chrześcijan od mużułmanów, jak i heterogeniczne uniwersum »chrześcijan Allaha« od niewyraźnej przestrzeni, w której żyli ci, co powrócili do Hiszpanii, »zainfekowani« długoletnim uwięzieniem przez Berberów... Byli oni traktowani przez Hiszpanów jak »zainfekowani« lub »nieczyści«. Nie przypadkiem zatem słowo

Saavedra oznaczało pogranicznika, zarówno gdy chodziło o wojny o Granadę, gdzie wyróżnił się legendarny Saavedra, jak i w tekście napisanej przez Cervantesa sztuki *El gallardo español*. Jak już wcześniej powiedziano, bohater tego dramatu Don Fernando de Saavedra przybiera wiele nazwisk i tożsamości, a nawet wkłada turban i ubiór Mauretańczyka, aby przeszkodzić schwytaniu przez chrześcijan Mauretańczyka Arlaksy⁸.

Zaprzeczywszy w ten sposób własnemu uporowi wykazanemu w Algierze, dopiero nowy Sylen, podwojony Cervantes-Saavedra mógł wyśmiać upór Don Kichota, który był wszakże i jego własnym, algierskim uporem...

Michał Larek: Pasjonujący wykład... Cervantes, jako jeden z pierwszych, na tak potężną skalę przedstawia tragiczne konsekwencje czytania książek. Czy mamy to odczytywać jako oskarżenie wpływowego medium, jakim stanie się druk, książka, pismo? Europejscy pisarze (u nas przede wszystkim Mickiewicz) będą często powracali do tego wątku.

Bronisław Świdorski: Istnieje nurt konserwatywnej refleksji pooświeceniowej mówiący, iż „czytanie szkodzi”, to znaczy kontakt z nowymi ideami może nas „zarazić”, „zaczarować”, „odmienić”. Pamiętam wypowiedź jednego z uznanych duńskich intelektualistów, który z całym przekonaniem twierdził, że „czytanie Kierkegaarda może doprowadzić do samobójstwa”. Podobne nastawienie miał w istocie rosyjski poeta i eseista Josif Brodski (choć na pierwszy rzut oka – odmiennie), gdy twierdził, że gdyby Stalin lub Hitler przeczytali więcej książek, nie staliby się mordercami...

Z Cervantesem należy postępować ostrożnie, bo u niego wszystko jest ironią. Don Kichote czyta tak, jak scholastycy chcieli, aby czytano ich dzieła, a przede wszystkim Biblię. Z przejęciem, całkowitą akceptacją, z pragnieniem dokładnego i natychmiastowego naśladowania. Bezkrytycznie i bezrefleksyjnie. I Don Kichote tak właśnie czytał... niestety nie Biblię, lecz romanse rycerskie. Czy powieść Cervantesa jest zatem krytyką druku i pisma? Skądże znowu! To propozycja jak najlepszej lektury: krytycznej, śmiesznej, filozoficznej! To najwspanialszy argument za siłą i książki, i powieści, i druku!

Michał Larek: Chwileczkę. Czegoś tu nie rozumiem. Gdzie pan znajduje argument na rzecz tezy, że *Don Kichote* to propozycja „najlepszej” lektury? Czy ta powieść, będąca potężną ironiczną konwersacją Cervantesa ze wszystkim, co się w jego czasach na rynku myśli „ruszało”, nie dewastuje naszego dobrego samopoczucia jako czytelników? Czyż ten hiszpański geniusz, kreując wszystkich swoich bohaterów, nie dowodzi nam, że jesteśmy niewolnikami najrozmaitszych fikcji, że nie potrafimy myśleć krytycznie?

Bronisław Świdorski: Ale właśnie taka wiedza jest konieczna dla czytelnika!

Michał Larek: Teraz rozumiem... *Don Kichote* otwiera historię europejskiej powieści. Jak należy rozumieć to, że pierwsza powieść w pewnym sensie jest już krytyką powieści, że jest metapowieścią, filozofią powieści?

Bronisław Świdorski: Sądzę, że ta książka jest wyjątkowym fenomenem kultury: jest syntezą możliwości europejskiej literatury, napisaną przed tejże literatury powstaniem.

Michał Larek: Lubi pan *Don Kichota*? Nie irytuje pana jego pewność siebie, wiara we własną rację, ufność w „bajkopisarstwo”?

⁸ M.A. Garcés, *Cervantes in Algiers. A Captive's Tale*, Vanderbilt University Press 2005, s. 194–195.

Bronisław Świderski: Niczego z tego, o czym pan mówi, nie znajduję w powieści. Zresztą, mówiliśmy już o tym. Postać Don Kichota została podwojona, a zatem i wymiana: jego „wiara” jest w istocie uporem, jego pewność siebie – traumatycznym odepchnięciem rzeczywistości, rezultatem nie tyle nadmiernej lektury, ile świadomości istnienia zła, które chce zwalczyć w jedyny dla siebie możliwy sposób. W ten sposób staje się zawodowym mordercą szukającym „czystego” zła, aby – jak mitologiczny Herkules – zwyciężyć je i oczyścić świat.

Michał Larek: Hm... Przyznam, że ja nie noszę Don Kichota. Tej jego ceremonialnej ignorancji rzeczywistości. Kiedy dają mu łupnia, cieszę się. Kiedy wygrywają jego majaki, jestem zirytowany. A jak to jest z panem? Bo nie odpowiedział pan, czy go lubi. Chyba, że coś przegapiłem.

Bronisław Świderski: Tak, lubię go. Dlaczego? Bo jest niezwykle: jednocześnie śmieszny i niebezpieczny. Jego lektura „powieści rycerskich” – a to określenie jest zapewne „etykietą zastępczą” i oznacza historie biblijne i dzieło św. Tomasa – jest jak najbardziej aktualną analizą fanatyzmu i jednocześnie ostrzeżeniem przed nim. „Etykieta zastępcza” miała uchronić Cervantesa przed prześladowaniami, jest to bowiem czas inkwizycji i jeden z jego literackich wrogów, Lope de Vega, współpracuje, jak twierdzą niektórzy badacze, z tą chciwą krwi instytucją.

Rozważmy zdanie pisane z innej okazji: „kategorie scholastyki, rozwijane, aby rządzić duszą (*regimen animarum*) były w znacznym stopniu zbieżne z dogmatycznymi kategoriami regulacji społecznych”⁹, czyli z kategoriami prawa, z formułą państwowej dominacji. Świetnie pasuje tutaj przykład inkwizycji. Ale Don Kichote mówi więcej: jak łatwo można osiągnąć pragnienie zabijania także w imię prawa, które jest już martwe, które umarło jak kultura scholastyczna i tylko Don Kichote o tym nie wie – dlatego jest uważany za szaleńca, a przez nas nazwany Błaznem. Opowieść o nim okazuje się zatem historią umarłego prawa, które nadal chce rządzić, jak to się wciąż dzieje w różnych tyraniach, na przykład w Korei Północnej czy w Iranie. Lub w Polsce lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Można nawet powiedzieć: Don Kichote, czyli opowieść o prawie, które przestało być prawdziwe, chociaż nadal jest groźne, bo jego strażnik Don Kichote już nadjeżdża, uzbrojony po zęby.

Ponadto u autora, którego przed chwilą cytowałem, znalazłem uwagę, że francuskie pojęcia prawa, czytania i delirium (*loi, lire, délire*) są ściśle ze sobą powiązane. Nie znam hiszpańskiego, lecz chyba równie odważnie jak Don Kichote postanowiłem zbadać to na własną rękę. Zacząłem googlować i odkryłem (nie wiem, czy całkowicie poprawnie), że odpowiednie trzy hiszpańskie pojęcia: *ley, leer, delirio* także przypominają o sobie... Czy ta refleksja nie oddala nas od naiwnego „bajkopisarstwa”?

Michał Larek: Pierwsza część *Don Kichota* zawiera mnóstwo opowieści o pięknych kobietach, które mężczyźni oskarżają o przeróżne bezeceństwa. Kiedy teraz czytam tę powieść, widzę w niej przede wszystkim rekonstrukcję patriarchalnej ideologii cnoty,

⁹ P. Goodrich, *Nieświadomość jest prawnikiem. Psychoanaliza i prawo w dziele P. Legendre’a*, tłum. I. Michalska, „Kronos” 2010, nr 3, s. 62.

która więzi kobiety i likwiduje ich autonomię. Widzę tu wielki „spisek” antykobiecy, zawiązany przez szowinistyczną tradycję. Dlaczego Cervantes gromadzi z takim uporem tego rodzaju powiastki? Zastanawiał się pan nad tym?

Bronisław Świdorski: Ale te powiastki to przecież zbieranie świata „do kupy”! To chęć znalezienia sensu-bezsensu we wszystkim, a może lepiej: niechęć do pominięcia choćby najmniejszego sensu-bezsensu, z pewnością ważnego dla jakiegoś człowieka... I to na tym świecie. Są tutaj, czyli zarówno w powieściowej „rzeczywistości”, jak i w majaczeniach bohatera zarówno arystokraci, jak i złoczyńcy, chłopi, kupcy... i oczywiście kobiety. A ponadto – zwierzęta i krajobrazy. Zgadzam się, że czytany dzisiaj *Don Kichote* może zostać odebrany jako szowinistyczny... ale czy jest to spisek? Wszak wiele występujących tam kobiet, nawet określanych jako sługi, góruje nad *Don Kichotem* zmysłem praktycznym i od niejednej z nich otrzymał nasz rycerz guza.

Z drugiej strony zawsze intrygowała mnie średniowieczna gra między mężczyzną a kobietą, gra pojawiająca się, rzecz jasna, w sferach wyższych. Oto rycerz wybiera swoją bogdanę (uczyni tak *Don Kichote*), po czym oddala się od niej, aby, jak twierdzi, głosić „jej cześć po całym świecie”. Ta dialektyka przyciągania i oddalania, która tak spodobała się romantykom, wydaje się dzisiaj zupełnie niezrozumiała.

Katolicki dualizm rozdzielił ciało od duszy (co stanowczo kwestionuje współczesna neurobiologia), kult ciała utożsamił z „nieczystością”, a nawet niewiarę i w rezultacie doprowadził do degradacji seksu. Niewątpliwie chrześcijańska „ideologia cnoty” dotyczyła jedynie lub przede wszystkim kobiet i była zgodna z patriarchalnym widzeniem świata. Ale czy ta lekcja („ten spisek!”) naprawdę została dosłownie przejęta przez Cervantesa, którego bohater bez umiaru idealizuje swoje bogdanki, porównując je nawet, jak napisze Garcés, do Marii Panny jedynie pozornie. Pamiętajmy bowiem, że to wszystko twierdzi szalencie uzbrojony w miecz. Gdy wariat mówi to samo, co potężna instytucja, to raczej podważa niż pomnaża instytucjonalne racje.

Michał Larek: Druga część opowiada historię *Don Kichota* po publikacji pierwszej części. Bohater co i rusz słyszy echa lektur książki o samym sobie. Najwidoczniej Cervantesowi zależy na podkreśleniu tego wątku. Dlaczego?

Bronisław Świdorski: Sądzę, a jest to moje prywatne odczytanie, że chodzi tutaj o odpowiedź na pytanie: kim jest *Don Kichote* – a zatem także: kim ja jestem? Znajdujemy się przecież tuż-tuż przed Kartezjańskim stwierdzeniem, że ontologicznie rozumiane „ja” jest „rzeczą myślącą” (*res cogitans*)... Obląkany *Don Kichote* jeżeli nie odrzuca, to problematyzuje ten późniejszy argument: bo czy jest to istotnie jego, *Donkichotowe* myślenie?

Także słyszane w powieści „echo”, które jest głosem opinii, nie rozstrzyga tego pytania. Ale czy oznacza to, że jego głos wewnętrzny lub owo z zewnątrz nadbiegające echo ma rację? A może rację ma ktoś inny? Nie wiemy tego z całą pewnością, nie wiemy zatem, kim jesteśmy. Kim jest prawdziwy *Don Kichote*: czy jest taki, jakim sam siebie przedstawia, czy raczej taki, jakim malują go inni?

Przyzna pan, że niezgodność tych dwóch sądów ze sobą jest stałym powodem naszej irytacji, naszego buntu przeciwko światu i, być może, naszego wewnętrznego rozwoju. To ja mam bowiem z zasady rację i nie rozumiem, dlaczego oni są tak odmienni ode mnie, dlaczego mówią coś innego niż ja, dlaczego podoba im się to, czego ja sam nie lubię... lub odwrotnie: dlaczego ja lubię *Don Kichota*, a pan nie.

Kim zatem jest Don Kichote? Odpowiedź, a właściwie „odpowiedź”, otrzymamy prawie na końcu powieści, w 72. rozdziale drugiego tomu. Don Kichote i Sanczo Pansa odpoczywają w wiejskiej karczmie, gdy przybywa rycerz o nazwisku Alvaro Tarfe. Don Kichote zbliża się do przybysza i mówi:

„– Pan musi być owym Don Alvaro Tarfe, występującym w drugiej części historii o Don Kichocie z *la Manczy*, która właśnie się ukazała, spisana przez nieznanego autora.

– Tak, to ja – odpowiedział rycerz – a ten Don Kichote, główny bohater opowieści jest moim bardzo dobrym przyjacielem. Właściwie to ja skłoniłem go, aby opuścił swój dom, a przynajmniej aby udał się na turniej rycerski w Saragossie, dokąd i ja zmierzałem...”.

Wówczas Don Kichote zadaje najważniejsze pytanie; mianowicie o swoją tożsamość:

„– Proszę mi powiedzieć, Don Alvaro Tarfe, czy przypominam chociaż trochę tego Don Kichota, o którym pan mówi?

– Absolutnie nie – odpowiedział rycerz – w żaden sposób”.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności udaje się Don Kichotowi w obecności wójta i notariusza skłonić rycerza do podpisania aktu notarialnego „przygotowanego według wszelkich zasad”, w którym don Alvaro Tarfe poświadcza, iż „nie zna don Kichota z *la Manczy*, który jest tutaj obecny i że to nie on występuje w historii zatytułowanej *Druga część Don Kichota z la Manczy*, napisanej przez niejakiego Avellanedę z Tordesillas”.

W ten sposób, na podstawie aktu notarialnego, Don Kichote odzyskał swoją tożsamość. Znowu napotykaśmy połączenie trzech pojęć, o których mówiliśmy poprzednio: prawa, lektury (książki-plagiatu) i obłędu, które teraz posłużą do odzyskania ukradzonego „ja”... Prawdziwy Don Kichot to ten, który został opisany przez Cervantesa, stanowczo oświadczy Cervantes. Wbrew równie konsekwentnie głoszonemu przez Alonso Fernandez de Avellanedę twierdzeniu.

A zatem tożsamość, czyli „to”, kim jestem, można zarówno zagubić, jak i odzyskać? Czy jest ona jakąś rzeczą lub substancją istniejącą poza mną? Czy jestem sobą także wówczas, gdy szukam siebie, swojej tożsamości? A może jedynie wtedy, właśnie szukając, jestem sobą? Jakie to szczęście, że istnieje prawo, które bezbłędnie rozstrzygnie te wątpliwości...

Na pytaniu o tożsamość skupi się później Kierkegaard; w tym rozumieniu *Don Kichote* wyprzedził filozofię egzystencji. Nie tylko ją zresztą, bo powieść poprzedza również – u Hegla (w *Fenomenologii Ducha*) mającą początek – tezę o „tożsamości dialektycznej” (*Identität-Differenz*), rozwijaną w dwudziestym wieku przez niemieckich i francuskich filozofów. Głosi ona, że tożsamość nie istnieje bez różnicy. Choćby tak niewielkiej jak ta między jednym i drugim Don Kichotem.

Michał Larek: Wskaże pan swoje ulubione momenty tej powieści?

Bronisław Świdorski: Gdy jako dziecko czytałem ją po raz pierwszy w Polsce, szukałem przede wszystkim akcji, owych zwiariowanych przygód i tego, „co będzie potem”. Teraz bardziej interesują mnie omawiane już problemy metafikcji, czyli – „jak to jest zrobione?”. Może dlatego, że między tymi dwiema lekturami zacząłem pisać powieści.

Michał Larek: A jak pan odczytuje finał *Don Kichota*? Ostatnie strony, na których nasz bohater budzi się z literackiego snu, przeżywa odczarowanie? No a potem umiera? „Przebacz mi, przyjacielu – tak zwraca się do Sanczo Pansy na łożu śmierci – że z mej przyczyny uchodziłeś za szaleńca jak i ja, wciągnąłem cię w błąd, w jaki sam popadłem, wierząc, iż byli i istnieją błędni rycerze”. Skąd to nagłe smętne „oświecenie”? A może to błąd warsztatowy pisarza?

Bronisław Świdorski: Przeciwnie, uważam zakończenie za wspaniałe i konsekwentne zwieńczenie powieści. Pozornie zwycięża konwencja – także konwencja wiary: nasz bohater staje się „normalny” i, przeczuwając nadejście śmierci, sprowadza księdza i notariusza. Ale, jak zobaczymy, jest to „normalność” dość skomplikowana. Po pierwsze, umierając, nasz „nawrócony na normalność” rycerz chce przeprosić autora plagiatu za to, że to on, Don Kichote, „niechcący przyczynił się do powstania tak wielu idiotycznych historyjek, które tamten napisał”. Jest to zatem kolejny cios zadany fałszerzowi, zresztą cios ostateczny, śmierć Don Kichota uniemożliwia bowiem kolejne plagiaty.

Po drugie, zakończyła się *Don Kichota* „gra w tożsamość”. Umierający rycerz tak mówi do swoich przyjaciół:

„– Pogratulujcie mi, panowie, bo nie jestem już Don Kichotem z la Manczy, ale Alfonsem Quijaną, który został nazwany »dobrym« z powodu zacnego życia... Odrzucam wszystkie bezbożne opowieści o błędnych rycerzach. Przyznaję, że byłem szaleńcem i sprowadziłem na siebie wielkie niebezpieczeństwo, czytając te historyjki. Przeklinam je a Bóg w swoim miłosierdziu pozwolił mi zmądrzeć po szkodzie... Potrzebuję księdza, chcę się wyświadczyć i notariusza, aby sporządzić testament, bo w takiej sytuacji nie należy igrać z duszą”.

Gdy spowiedź dobiegła końca, ksiądz powiedział przyjaciołom umierającego:

„–Alfonso Quijano zwany Dobrym istotnie umiera i naprawdę rozum powrócił do niego”.

Jak widzimy, to nie Don Kichote umiera. Powtórzmy to w najskrajniejszej formie, na jaką nas stać: Don Kichote nie umiera!

Rycerz prosi Sanczo Pansę o wybaczenie (w cytowanym przez pana fragmencie), ale nie otrzymuje go. Sanczo – uosobienie zdrowego rozsądku! – prosi Don Kichota, aby nadal prowadził dawne życie i pozostał szaleńcem. Ponownie szaleństwo zostaje utożsamione z życiem, normalność zaś – ze śmiercią. Sanczo Pansie nie przeszkadza bynajmniej, że Don Kichote nazywa się teraz zupełnie inaczej. Być może giermek jest przekonany, że właśnie jedna tożsamość oznacza śmierć, natomiast posiadanie ich wielu jest życiodajne. Ta myśl mi się podoba: dawno temu napisałem pochwałę trzech tożsamości, a w „Gazecie Wyborczej” z okazji nominacji *Asystenta śmierci* do finału Nike dodałem, że owe trzy już mi nie wystarczają.

Ponadto widzimy inną zależność. Zawsze ludzie bali się śmierci, a niektórzy uznają ją za najsurowszą karę, jaka może spotkać człowieka. Czyżby zatem śmierć-kara cierpliwie czekała na rozsądnego, rozumnego Alfonso Quijano, skoro przez dwa tomy omijała wciąż rzucającego jej wyzwanie szaleńca Don Kichota? Zakończenie powieści jest pozornie budujące: o tak, umiera człowiek, który „powrócił” do siebie, odzyskał zmysły. Umiera jako jednostka normalna, a zatem wszystko powraca do normy. CO zatem umiera? Właśnie: norma, rozum i rozsądek. SZALEŃSTWO JEST NIEŚMIERTELNE!

Poznań-Kopenhaga, zima 2010

Rozmowa pochodzi z przygotowanej do druku książki Bronisława Świderskiego, *Kiedy mogę zabić? Dyskusje o kulturze i przemocy*, pod red. J. Borowczyka, M. Larka.



Fotografia – Monika Ekiert-Jezusek